Rok 1935. 29 września Nr. 40

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Pod redakcją Eli Oleskiej.

Dla kogo?

Normalnie, jak od wielu, wielu lat, rozpoczął wrzesień nowy rok szkolny. Zapełniły się długie rzędy ławek wszelakiego rodzaju młodzieżą — od najmłodszych na pierwszym stopniu nauki, tak zwanych „sztubaków", aż do tych, co po upływie dziesięciu miesięcy szkołę już opuszczą.

I tak dzieje się nieodmiennie rok po roku. A wszyscy, dla których zakłady naukowe otwierają swe bramy, śpieszą do nich dla jednego celu. Celem tym jest nauka. Ale, chociaż cel jest jeden, nie wszyscy go w jeden sposób rozumieją — i dlatego różnie traktują naukę.

Są uczniowie, którzy uczą się dlatego, że muszą, bo wisi nad nimi groźba rodziców, że jeśli się uczyć nie będą, „pójdą do szewca", czy też do jakiego innego rzemieślnika. (Ci zaś, którzy tak grożą, nie rozumieją widocznie tego, że dla rzemieślnika jest nauka również potrzebną.) Stara się więc taki uczeń jedynie o to, aby dobrze odpowiedzieć wtedy, kiedy się spodziewa, że go nauczyciel zapyta, żeby nie zasłużyć na dwóję i jako tako przeleść z klasy do klasy. Inni uczą się dlatego, bo... cóż innego mają robić? Skoro już trzeba koniecznie chodzić do nieznośnej szkoły, to i uczyć się tam trochę należy..., aby tylko nie zanadto, tylko tyle, by zadowolić nauczyciela.

I jednym i drugim wydaje się, że biedni uczyć się muszą tylko dlatego, bo się tak komuś podoba, bo komuś tego potrzeba — rodzicom, nauczycielom, wszystkim, tylko nie im samym. Tymczasem przecież nauka jest potrzebną dla każdego człowieka z osobna, bo bez nauki obejść się w życiu nie można. Minęły już dawno te czasy, kiedy to wyobrażano sobie, że dla chłopca wystarczy, aby umiał jeździć konno i szablą wywijać, a dla dziewczyny, by umiała gotować i szyć. Dziś każdy powinien umieć jak najwięcej, aby sobie zawsze mógł w życiu poradzić. Wprawdzie najlepsza nawet szkoła nie może nauczyć wszystkiego, ale przez nią nabywamy możności zdobywania dalszej wiedzy, dalszego kształcenia się. To jest taksamo, jak bez poznania w elementarzu liter, nie potrafimy przeczytać najprostszego słowa, nie zdobędziemy umiejętności czytania, tak podobnie bez przejścia przez ogólnie kształcącą szkołę, nie nabędziemy wiedzy wyższej, nie zdobędziemy poczucia wartości nauki, cywilizacji, kultury, wogóle życia na ziemi.

Każdy zatem, kto przekracza codzień progi swojej szkoły, niech pamięta o tem, że przedewszystkiem uczy się dla samego siebie, że to, co zdobędzie w ciągu lat szkolnych, stanie się jego własnością, jego bogactwem, jego wartością. A dopiero później zaciążą na nim obowiązki podzielenia się tem, co mu dała szkoła. Bo każdy, kto sam dostaje, winien i dawać. Kto zaś niczego nie zdobędzie, niczego się nie nauczy — jakże będzie mógł z pustki dobywać, by obdarzać drugich? Taki jest porządek i takie jest prawo życia na ziemi.

Kochajmy więc szkołę, kochajmy tych, co w niej uczą, starajmy się z ich nauki korzystać, bo oni przecież trudzą się dla nas, tak, jak my kiedyś trudzić się będziemy dla nowych pokoleń. Ucząc się sami, zdobywamy dobra duchowe i materjalne dla wszystkich.

E. O.

DOOKOŁA ŚWIATA.

II.

Kiedy „Dar Pomorza“ powrócił do Gdyni i ludzie z lądu weszli na jego pokład, natknęli się na żółwie. Pętały się pod nogami, a były rozmiarów, jakich nikt w Polsce nie widział, może dwumetrowej długości. Dwa były takie niestraszne potwory z wysp Galapagos. Można na nim stanąć, można go na bok odsunąć jak beczkę, a on nic. Schowa na chwilę łapy i głowę pod tarczę pancerną, którą na sobie nosi, a potem gdy już nic mu nie grozi, prze naprzód pod ludzkiemi nogami niby pomniejszony czołg. A nad nimi krzyczy z klatki papuga, baraszkują małpki... Marynarze zaś pokazują gościom co krok jakieś pamiątki z za oceanu z ogromnej drogi dookoła ziemi. Ten figurynkę z Szanghaju, ów wachlarze z Jokohamy, tamten wianek kwiatów zasuszonych z wysp Hawajskich, ten kupił pachnidła malajskie w Singapore, tamten kask słomkowy od upałów tropikalnych chroniący w San Domingo, ktoś częstuje papierosami z Batawji, pokazuje kamyk podjęty przed domem Napoleona na wyspie św Heleny...

Ludzie oglądają statek z należnym podziwem jako dla okrętu, który pierwszy pod polską banderą odbył podróż naokoło świata, zwycięsko wyszedłszy z całorocznej walki z żywiołami. Wrócił taki, jaki wyszedł, biały, czysty, i tylko jedną ma odmianę: gdy odjeżdżał, miał na przednim maszcie banderę japońską oznaczającą port celu podróży, a teraz ojczystą banderę polską, ale nadto na maszcie zwisa coś osobliwszego i to ze szczytu aż do fal rodzimego Bałtyku. To proporzec długości 39-metrowej na dowód rekordowego wyczynu, 39,000 milimetrów znaczy 39 tysięcy mil morskich, bo każdy milimetr proporca oznacza milę przebytą w podróży. Jest to stara tradycja żeglarska w taki sposób znaczyć sobie przebytą podróż morską dodawaniem po milimetrze na wstędze nazywającej się wympel.

Ludzie gotowiby pytać o każdy milimetr tego bajkowego filmu, a ci bohaterowie pierwszej polskiej podróży dookoła świata opowiadaćby mogli bez końca jak to tam było... Ano na wodach japońskich szalały sztormy i mgły przeszkadzały, o, tam było ciężko. W okolicach Przylądka Dobrej Nadziei jeszcze było gorzej, bo sztorm trwał bez przerwy tydzień, szalupę ratunkową zmiażdżyło, ale chłopcy bohatersko obronili swój biały żaglowiec. Na Galapagos uratowali rozbity jacht, tam odbywali wielkie polowanie na foki i jelenie. Równik przecinali trzykrotnie, zamęczani straszliwemi upałami. W Szanghaju stojące na redzie krążowniki bojowe z wielkiej dla Polski sympatji i uwzględniając osobliwość tej pierwszej naszego statku podróży dookoła globu, oddały salut „Darowi Pomorza“ należny tylko okrętom wojennym.

Najcudowniej było na Honolulu, całkiem jak w bajce, morze i kwiaty, kwiatów istne morze, urocze śpiewy, czarodziejska muzyka i przedziwna uczta pod wygwieżdżonem niebem na brzegu oceanu. Hawajskie dzieci na pożegnanie każdemu ze stu marynarzy zawieszały purpurowe wieńce na szyi i jak każe tradycja, w chwili, gdy okręt odbijał od wysp i śnieżne szczyty gór Hawajskich zaczynały znikać we mgle, każdy z nich rzucał swój wieniec kwiatowy na wodę, by nie zapomnieć nigdy o Hawajach.

A potem dni wielkiej samotności, nic, tylko woda i niebo, 42 dni bez lądu w drodze oceanowej z Honolulu do Jokohamy. I dalej znowu urok coraz to nowych portów, czary fosforyzujących oceanów, egzotyczne widoki i cuda niby na najprzedziwniejszym filmie. *(Dok. nast)*

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział Marjan Warta. *(Dokończenie)*

Był to „betel“, który wszyscy tam żuli namiętnie. Banka nie używała go odkąd opuściła wieś malajską; teraz rzuciła się na to chciwie, tłómacząc chłopcu, że jest to mieszanina tłuczonych orzechów areki z liśćmi betelu i palonem wapnem. Will skosztował tego trochę i uczuł smak gorzki, poczem usta napełniły mu się mnóstwem śliny, dziąsła zabarwiły się na bronzowo, a zęby czarno. Wreszcie oddech nabrał przykrej woni. Przestrach ogarnął Willa, lecz Banka dała mu zaraz proszek z tych samych orzechów suszonych i zmielonych, który tak oczyścił mu zęby, że po żuciu nie pozostało ani śladu, oprócz podniecenia w całem ciele.

Wkrótce na werandzie, na której zgromadzili się wszyscy mieszkańcy domu przy warsztatach tkackich i farbiarskich, zobaczył Will, jak kobiety wywarem z orzechów areki barwiły materje na saronga, gdy inne sokiem bananów farbowały na tensam cel tkaniny lniane i bawełniane, zależnie od przygotowania soku, to na kolor zielony, to na żółto-perłowy, lub brudno czerwony. Widział tam tkaczki pracujące nad przygotowaniem owych barwnych zawojów, w które Malajowie stroili głowy; widział dziewczyny szyjące ozdobne czapeczki, używane przez innych zamiast zawojów, lub krótkie, o jaskrawych kolorach spodenki, noszone przez młodszych, zarzucających już zwyczaj osłaniania ciała tylko sarongą.

Nazajutrz miał sposobność przyglądania się na podwórzu naradzie całego szczepu, który zgromadził się, by ustalić warunki, na jakich po powrocie dyrektora, zbuntowani robotnicy mogliby wrócić do plantacji.

Wtedy dopiero nabrał wyobrażenia, jak uzbrojeni są wojownicy malajscy. Pomiędzy mnóstwem różnorakich sztyletów, poznał ów straszny krys, którym Bance grożono; przyjrzał się różnym mieczom, wśród których zajął go bardzo ogromny i groźny klewang. Na dzidach ostrych zauważył różnokolorowe sznury i wstęgi, na łukach piękne pióra ptaków, których na wyspie była taka rozmaitość; a kiedy nie mógł zrozumieć, do czego służy przyrząd wiszący u boku wielu Malajów, objaśniła go Banka, że jest to dmuchawka, z której strzała wypuszczona trafia na odległość do dwudziestupięciu metrów.

Najbardziej w oczy rzucały mu się zdaleka tarcze różnej formy, wśród których jedne były tkane z witek drzewnych, inne stanowiły pancerz, zrobiony ze skóry dzikich zwierząt, w jakie obfitowało Borneo, gdzie z wyjątkiem lwa i tygrysa, można było spotkać się ze wspaniałemi okazami, nawet z nosorożcem i panterą.

Po naradzie Malajowie ucztowali, poczem zabawiali się jedni grą w kostki, inni grą w karty, to znów z taką samą namiętnością, jak przy grze, uczestniczyli w walkach kogutów, podczas których robili zakłady między sobą o to, która strona zwycięży.

Podczas uczty, wśród straszliwego wycia zjawili się dwaj młodzieńcy malajscy, niosąc na dzidach skrwawione głowy białych. Banka wyjaśniła Willowi, że to według starego zwyczaju ludożerców z Borneo, dorastający młodzieniec musi wybrać się na polowanie, by głowami ludzkiemi dom rodzinny ozdobić. Tym razem były to głowy urzędników z plantacji drzewa kamforowego o kilka mil stamtąd odległej.

Odtąd Will, smutniejszy, niż kiedykolwiek i w coraz większej trwodze o swego drogiego tatusia, na nic już nie patrzył, tylko godzinami wczytywał

się w ocaloną z domu książkę, by przy niej zapomnieć o strasznych przejściach i o tych wojownikach brunatnych, którzy na naradzie tak groźnie bronią swą potrząsali, mówiąc zapewne właśnie o jego ojcu.

* * *

W tydzień później zobaczył ponownie zgromadzony tłum zbrojnych Malajów. Tym razem już nie dla narady. To była wyprawa naprzeciw powracających plantatorów, którzy o niczem nie wiedzieli, co mieli zastać w swojej kolonji. Zgliszcza i pustka powiedziały im wszystko.

Nie zsiadając z koni, pociągnęli w głąb puszczy, w stronę osad malajskich.

Kiedy znaleźli się w pobliżu wioski, w której właśnie Will przebywał tłum zbrojny brunatnych wyspiarzy w jaskrawych sarongach i zawojach, z pancerzami skórzanemi, wystąpił naprzeciwko z dzidami w ręku. Za polem bananów, pod nagą ścianą skalistej góry, spotkano się z gromadką Anglików.

Jeden z przewódców zbuntowanych Malajów wpadł po drabince na werandę, i porwawszy Willa na ręce, podniósł go w stronę walczących. Banka z krzykiem biegła za nim. Stary Malaj ponad tłum wojowników wzniósł w górę Willa, lecz zanim dyrektor w zgiełku bitwy dojrzał tam syna padły z poza koni strzały z angielskich karabinów. W tej samej chwili ,Banka rzuciła się w wir walczących i wskoczywszy na kamień, ręce rozkrzyżowała, by sobą zasłonić zagrożonego wychowanka. Niestety, jeden ze strzałów ugodził w pierś dzielną jego opiekunkę, która z głazu zwaliła się trupem do stóp dzikich.

Na znak pana Edwarda, który pierwszy poprzez kłęby dymu dostrzegł Willa na ramionach olbrzyma malajskiego, ogień ustał natychmiast. Między obiema stronami zaczęły się układy, a ponieważ dyrektorowi szło o życie syna, ustępował buntownikom i zgadzał się na ich warunki.

Ale kiedy walczący zawarli pokój, kiedy jeńców wydano białym i pan Willington uściskał odzyskane dziecko, płaczące nad zwłokami Banki, podziękował plantatorom za posadę dyrektora i jeszcze tego dnia opuścił złotodajny las kauczukowy, przekładając nad jego skarby opuszczenie Borneo ze swym jedynakiem i wyjazd do bezpiecznej Europy.

KONIEC.



Obrazek ten z filmu „Sequoia"(w kinie Świt) przedstawia dziewczynę w Kalifornji, której udało się tak wychować wspólnie młodego jelenia z krwiożerczą pumą, że zwierzęta zaprzyjaźniły się i jedno drugiego nie pożarło. Ale też widzimy, w jakiej przyjaźni i ich wychowawczyni żyje ze zwierzętami z dzikiej puszczy leśnej.